

Marcin najlepszym przyjacielem był

Dla Marcina i mojej Mamy

MICHAŁ SZWEDA

Nasz kolega, Marcin Kornak, wielki człowiek, mądry łeb, mimo swej niepełnosprawności fizycznej bardziej sprawny i aktywny niż niejedna zdrowa osoba (na przykład leniwy ja, ha, ha...). Przyjaciół, kumpel, punkowiec, pojechany poeta Martin Eden, przewodnik, nauczyciel, wszyscy go kochaliśmy... I ten jego słynny Pokoik, jak „szafa grająca” – po brzegi wypełniony kasetami, płytami, zinnami, książkami, komiksami... Czego ja tam nie poprzegrywałem, ileż przeczytałem, ha! I nie tylko ja, u niego prawie zawsze siedzieli różni ludzie z różnych załóg, rozmawiając o wielu ważkich sprawach, przychodzili po porady, poustalać działania, przegrać jakąś muzykę, zakupić coś z dystrybucji prowadzonej przez niego również. Właśnie, Pan Centrala, szefunio wszystkich naszych działań w młodej antynazistowskiej załodze punkowej, każdy Marcina słuchał i rozumiał, co mówi, jak potrafi nas ogarnąć, skierować naszą siłę w kierunku pozytywnych działań, dawał kopa. A wtedy w Bydgoszczy w latach 80. mieliśmy kłopot z nazi-skinami. Trzeba było zawalczyć z nimi bardziej, na ulicach i w klubach już byliśmy, ale to było niewystarczające, ciągle wylazili z różnych dziur. Wpadliśmy z Marcinem na pomysł: „Tworzymy GAN (Grupa Anty-Nazistowska). Zabawimy się z nimi regulaminowo, tak jak oni to robią pod osłoną milicji”. Tam i wtedy kształtowało się moje dalsze życie... Nieformalna załoga młodych wkur...nych przekształciła się potem, gdy Marcin przeniósł się do Warszawy, w Stowarzyszenie „NIGDY WIĘCEJ”.

Poznałem go w 1984 roku dzięki jego bratu, punkowaliśmy wtedy ostro. Wjeżdżam do nich na chatę do Fordonu i konsternacja: widzę sparaliżowanego kolegę na olbrzymim szpitalnym łóżku – z daleka machającego ręką, uśmiechniętego od ucha do ucha, kilka osób siedzi obok na podłodze pod ścianą, ciasno jak to w bloku; napieprza jakiś polski punkowy czad. Ale spoko. Podchodzę, przybijam piątkę (a nie było mu łatwo przyłożyć dłoni, tak jak i chlapaną browara czy kielicha, potrzebował pomocy, później się nauczyłem tego chwytu, he, he...) i wypalam: „K...wa, ale masz zaję...ste łóżko, stary!”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, Marcin pierwszy, przyglądający się rodzice i reszta obecnych. No, i się zaczęło.

Muzykę i fanziny z jego archiwum „polykałem” wręcz – dniami i nocami. Jestem z zawodu zecerem-linotypistą i wszystko, co wydrukowane, kręciło mnie bardzo; ten zapach papieru, farby drukarskiej i kleju intro-ligatorskiego, hmm, powąchajcie kiedyś wewnątrz świeżo wydrukowanej gazety lub książki. Pracowałem wtedy w Prasowych Zakładach Graficznych w Bydgoszczy przy wydawaniu wielu różnych bydgoskich i krajowych tytułów prasowych, a wtedy jeszcze „w ołowiu”. I kiedyś Marcin mówi, że wydaje zina „Kanalozą” i czy mogę pomóc, powycinać, pokserować itd. „No przecież, że tak”, mówię, i jazda z nożyczkami, skalpelem i klejem. W końcu powiedziałem: „Pracuję w drukarni. Zrobimy to fachowo!”. Wreszcie wykorzystaliśmy moje możliwości z zecerni maszynowej, gdzie później na lino robiłem „na lewo” prawie cały skład „w ołowiu”, odbitki cięliśmy na kawałki papieru i montowaliśmy na klej, ze zdjęciami, na kartonowych makietach A4.

Po jakimś czasie stwierdzam: „Marcin, czas coś zmienić. Cały system poligraficzny przechodzi z ołowiu na fotoskład, my też musimy”. Zainwestowaliśmy więc całe sto złotych (lata 80., gruba kasa) w stary sprzęt z PZG (taka pierwsza składarka komputerowa na dyskietki 5-calowe jako nośniki programów z klawiaturą wielkości czterech współczesnych) i zaczęliśmy działać poligraficznie – prawie profesjonalnie! To wtedy powstały ostatnie numery „Kanalozy” i ostatni numer „QQRYYQ”, wtedy tworzyliśmy pierwsze numery „NIGDY WIĘCEJ”. To była partyzantka i anarchia, skakałem przez płot drukarni na Wzgórzu Wolności w Bydży, owinięty w pasie płytami offsetowymi i naświetlonymi diapozytywami, by wbić się na dział światłokopii i na lewo naświetlić te płyty offsetowe, które potem tą samą drogą wynosiłem do zaprzyjaźnionej drukarni... Po kilku latach, gdy era komputeryzacji rozwijała się w najlepsze, nasza „kolubryna” stała się wielkim przeżytkiem i trzeba było przestroić się na peceta i nauczyć się nowych programów.

Lecz poprawki językowe w magazynie były od początku. Jako że błędów nie lubimy i o czystość języka pisanego dbaliśmy z Marcinem bardzo, zaproponowałem mu pomoc profesjonalnej korektorki. Marcin pomysł podchwycił od razu, lecz jednocześnie zmartwił się kosztami takiej „fanaberii”. Mówię mu na to, że moja Mama z chęcią nam pomoże wolontariacko, bo bardzo sprzyja naszym działaniom i podziela nasze poglądy i zaangażowanie. Tak zaczęła się nasza trzyosobowa współpraca redakcyjna, ściśle techniczna. Dopiero teraz zobaczyliśmy, jak wiele błędów nie zauważaliśmy wcześniej.

Marcin Kornak z Panią Ewą Szwedą polubili się od pierwszej rozmowy telefonicznej, mieli wspólne poglądy na otaczającą rzeczywistość. Nigdy nie spotkali się osobiście, lecz wiele razy Marcin ustalał z moją Mamą (za moim pośrednictwem lub sam telefonicznie, w późniejszych latach już przez Skype'a) składnię i pisownię danych wyrażań, to, jak ubrać w słowa koncepcję artykułu, jak naprawić cudzy tekst, dlaczego tak, a nie inaczej, zawsze był ciekawy wyjaśnienie Pani Ewy na tematy językowe... Jako wieloletnia ko-

rektorka kilku bydgoskich gazet i wydawnictw, a przez kilkanaście ostatnich lat pracy „Gazety Pomorskiej”, była mocno doświadczona i wiedziała bardzo dużo, czyściła nam magazyn do ostatniego przecinka. Marcin często żartował z moją Mamą: „Pani Ewo, pani jest jak jakiś kosmiczny skaner i wyłapuje wszystkie byki, to niewykonalne!”. A ona nieskromnie przyznawała mu rację. Mama miała cięty język, więc wszystkie jej dopiski korektorskie niezmiernie nas bawiły, w rozmowach z Marcinem zawsze je komentowaliśmy, śmiejąc się z własnej głupoty.

Dzięki naszym ciągłym konsultacjom mogłem rozwijać swoje umiejętności „edytorskie”, i teraz, po prawie trzydziestu latach, „NIGDY WIĘCEJ” wygląda, jak wygląda. Dzięki artykułom zawartym w naszym magazynie zapoznałem się z wieloma ciekawymi tematami, których nie można znaleźć w żadnym innym wydawnictwie. Widziałem, jak się rozwijamy, a Marcin zasował przy tym za trzech. Praca redakcyjna to żmudna robota, lecz on twierdził, że odpoczywa dopiero przy wydawaniu „NIGDY WIĘCEJ”, tak bardzo dręczyła go codzienna „walka z faszyzmem”... Zaczął chorować.



Dwoje korespondencyjnych i wirtualnych przyjaciół, współtwórców magazynu „NIGDY WIĘCEJ”. Cześć ich pamięci!



MARCIN KORNAK



EWA SZWEDA

Któregoś dnia dostaję wiadomość i cios: Marcin nie żyje. Żart chyba, myślę sobie. Nie, Ania Tatar mówi: „Michał, usiądź. Marcin umarł dziś w nocy...”. Popłakałem się jak bóbr, jak to, myślę, przecież przed chwilą z nim rozmawiałem, przed kilkoma godzinami, robiliśmy korekty, wspominaliśmy, gadaliśmy o „starych rowerach” i w ogóle. To niemożliwe, nie Ten koleś. Przecież właśnie kończymy 21. numer „NW”. Robota wre. Wołam do Niego w myślach: „Marcin, mów do mnie; ile stron ma być; gdzie ta reklama; co jeszcze dojdzie; przełamać ten tekst; kiedy oddajemy do drukarni, k...wa?!”. Nie odpowiedział już.

Był przyjacielem naszej rodziny, życiowym bohaterem. Był przyjacielem od serca, zawsze można było na nim polegać. Pomagał na różne sposoby. Godził wiele waśni. Potrafił znaleźć wspólny temat do rozmowy z każdym, posłuchać wspólnie ulubionej muzy, pograć w gry online, a nawet obgadać tego i owego, ha, ha, gdy nudy.

Moja Mama, mimo tej smutnej wieści, była twardsza ode mnie. Splanaliśmy się wszyscy w rodzinie, lecz to ona wsparła mnie od razu, powie-



**Marcin Kornak (z prawej)
z przyjaciółmi – współpracownikami
Stowarzyszenia „NIGDY WIĘCEJ”, Warszawa 2005**

działa wtedy: „Dalej, do dzieła, dla Marcina! Nigdy więcej. Wielu nas!”. Wtedy też już chorowała, „ostatnimi oczami” czytała kolejne strony „NW”.

Mieszkam na emigracji. Marcin często nabił się ze mnie, pytając: „Majkel, jak tam w Lidzie, kiedy mnie odwiedzisz w Polsce koło stolicy?” (polgliszowy cytat ze Skype’a). Nie zdążyłem. Nie mogłem Go pożegnać. Na cmentarzu, w imieniu moim i mojej rodziny, żegnała Go Pani Ewa Szweda, moja Mama.

Rok później odeszła moja Mama.

A Mama była przyjacielem i kumplem naszej załogi. Lubili ją wszyscy, ona lubiła całą tę szaloną młodzież, a Marcin też nią był, najbardziej i zwłaszcza. Najlepszy z nas, dla mojej Mamy to w ogóle. Kiedyś powiedziała: „Ktoś was musi za mordę trzymać, gówniarze. Słuchać Marcina i kropka!”. I tak było zawsze. I dobrze.

Wielu pamięta Go jako założyciela „NIGDY WIĘCEJ”, niektórzy jako dziennikarza i poetę, jeszcze inni jako punkowca i załoganta, ktoś kiedyś kopał z nim piłkę na podwórku albo kapsle pstrykał. Rude boy, szacunek.

Dla mnie to najlepszy przyjaciel i koleżka.
Bywaj, Brachu.

A Mama jest jedna. Kocham cię, Mamo.

* * *

Marcin Kornak i Pani Ewa Szweda naszymi przyjaciółmi byli. O tak. ■

EWA SZWEDA (1945-2015)

Z ogromnym żalem zawiadamiamy, że 16 sierpnia 2015 roku zmarła EWA SZWEDA (WINIECKA), wieloletnia współpracowniczka Stowarzyszenia „NIGDY WIĘCEJ”, korektorka magazynu „NIGDY WIĘCEJ” i innych wydawanych przez nas publikacji.

Będzie nam bardzo brakowało Jej umiejętności, pomocy i zaangażowania.

Cześć Jej pamięci!



REDAKCJA

Ewa Szweda